

OBECNOŚĆ

**PAN
JEST**

Wiem, że dla wielu może to być problem. Dla mnie w zasadzie nigdy tego problemu nie było. Odkąd pamiętam, wierzyłem, że Bóg istnieje. Nawet wtedy, kiedy fascynowałem się komunizmem w wydaniu Trockiego czy innymi teoriami wyzwolenicznymi, tu i ówdzie lansowanymi przez amerykańskich raperów, to Bóg po prostu był w mojej głowie.

Takim wspomnieniem z dzieciństwa, które dość dobrze zapamiętałem, był obraz mojego taty, który bez względu na wszystko, co się w jego życiu działo i jak sam to życie prowadził, zawsze każdego ranka klęczał przy łóżku, by tych kilka minut poświęcić na modlitwę do Boga. Myślę, że mógł być jednym z tych, którzy wcale nie musieli tego robić. Sam stracił swojego tatę 17 września 1939 roku, a urodził się dokładnie dziewięć miesięcy wcześniej, 1 stycznia. Zapamiętałem datę śmierci dziadka, bo lubiłem historię i wiedziałem, że był to dzień, w którym Rosjanie wkroczyli do Polski. Wtedy właśnie w jednej z pierwszych walk zginął dziadek.

Od samego początku tata musiał żyć z poczuciem wielkiej nieobecności kogoś tak ważnego jak ojciec. Pewnie nie ma jednoznacznych badań dotyczących tego, jak kształtują się przekonania duchowe półsierocnych dzieci, ale mam wrażenie, że w sercu małego dziecka jednak powstaje wówczas jakaś dziura. Trochę niezdefiniowana, niezrozumiała, ale na pewno prowadząca do wielu pytań o wyższą obecność w świecie.

Kolejnym wydarzeniem, które mocno wstrząsnęło życiem mojego taty był wypadek. W warsztacie, w którym pracował jako mechanik, doszło do wybuchu. Naprawiał wtedy w kanale auto. Uległ tak poważnemu poparzeniu, że ledwo przeżył. Przez dwa tygodnie był w śpiączce, w stanie krytycznym. Obrażenia były na tyle poważne, że trzeba było ściągać skórę z jego pleców, by móc przeszczepić ją na poparzone ręce i nogi. Od wypadku rosły mu wyłącznie białe włosy. Przez kilka lat trenował na kółkach gimnastycznych i miał rozbudowaną muskulaturę, dlatego wyglądał dosyć strasznie

ze spaloną skórą na twarzy i widocznymi żyłami. Mógłby więc być zły na Boga za to, co go spotkało.

Jednak pierwszą myślą taty, po wybudzeniu ze śpiączki, było przekonanie, że przeżył dzięki Bogu. Mówił, że kiedy spał, czuł, jakby spadał, aż w pewnym momencie coś go złapało. Jako mały chłopak przeżywałem tę opowieść. Była dla mnie, obok obrazu pogrążonego w modlitwie, klęczącego taty, pierwszym świadectwem, że nie jesteśmy tutaj sami.

Pytanie o ludzką samotność zdręcza nas od samego początku. Czy ktoś tam może jest, czy nikogo nie ma? Jak to w ogóle sprawdzić? Jak to udowodnić? Jak wywnioskować? Przez wieki idziemy z tym pytaniem. Wierzący w nieobecność najczęściej myślą o sobie, że wyszli z ciemni. Wierzący w obecność z kolei mają wrażenie, że znikąd nie wyszli i stoją w świetle.

Czy wierzymy w Boga, bo czujemy się tak bardzo samotni? Czy nie wierzymy w Niego, bo czujemy się tak bardzo pewni siebie?

Nie będę starał się długo o tym pisać, bo są mądrzejsi, którzy na ten temat napisali już dużo, ale w kilku zdaniach chciałbym ci pokazać, że Jego jestestwo możesz odebrać na poziomie, na którym jesteś teraz – bez względu na to, jaki jest to poziom. Jeden z moich ulubionych autorów, Timothy Keller, w swojej książce *The Reason for God* wymienia kilka wskazówek, które podpowiadają nam, że On Jest. Po pierwsze pisze o prawidłowościach w naturze. Zadaje między innymi pytanie, którego raczej nie zadajemy za często: dlaczego jutro miałyby nastąpić i wyglądać podobnie jak wczoraj? Dlaczego pewne procesy w świecie miałyby wciąż się powtarzać i trwać?

Większość ludzi traktuje to jako coś normalnego i niebudzącego niepokoju, ale filozofowie, David Hume i Bernard Russell, świeccy myśliciele, byli zaniepokojeni faktem, że nie mamy najmniejszego pojęcia, dlaczego pewne prawidłowości w naturze

się dzieją. Dodatkowo nie mamy najmniejszego racjonalnego usprawiedliwienia, zakładając, że jutro te prawidłowości zadzieją się raz jeszcze.

Kolejną wskazówką, którą podaje, jest istnienie piękna. Jak często zdarzają ci się momenty, kiedy docierasz do czegoś, co zawsze chciałeś zobaczyć, ale dotychczas widziałeś to tylko na Instagramie u swoich znajomych? Dopada cię jakieś dziwne uczucie spełnienia, piękna, sensu tego wszystkiego? Jak często, gdy słuchasz swojej ulubionej muzyki, bez względu na to, czy jest to Justin Bieber czy Taco Hemingway, albo myślisz o jakiejś ważnej dla ciebie osobie, ogarnia cię świadomość nadziei, niewyobrażalnej radości czy miłości?

Zdarza mi się co jakiś czas wyjeżdżać i doświadczać piękna w różnych postaciach. Być może jedną z tych, które pozwalają mi określić poziom mojego szczęścia, jest uczucie tęsknoty za moją żoną i dziećmi. Siedzę sobie gdzieś i po prostu tęsknię za ludźmi, którzy są setki, tysiące kilometrów ode mnie. Keller pisze coś takiego:

Mamy w sobie tęsknotę za radością, miłością i pięknem, których żadne ilości jedzenia, seksu, przyjaźni czy sukcesu nie są w stanie wypełnić. Chcemy czegoś, czego nic na tym świecie nie jest w stanie wypełnić. Czy nie jest to zatem co najmniej podpowiedź, że to „coś”, czego pragniemy, istnieje.

Pragnienie odczuwania sensu odróżnia nas od zwierząt. Z jakiegoś powodu do tego dążymy i w tych chwilach, gdy zdarza się nam zatrzymać, mamy wrażenie, że coś takiego, ktoś taki istnieje naprawdę. Oczywiście nie każdy dochodzi do tego miejsca. Klóćimy się z tym. Na pewno sama Biblia tego nie robi. Zakłada, że On jest, i z tego poziomu próbuje do nas przemawiać. Dlatego dobrze jest zerknąć do tych miejsc, by spróbować spojrzeć z tej perspektywy samemu.

**Gdy patrzę na Twe niebo, dzieło Twych palców,
księżyc i gwiazdy, któreś Ty utwierdził:
Czym jest człowiek, że o nim pamiętasz,
i czym – syn człowieczy, że się nim zajmujesz?
Ps 8, 4–5**

Czy nie nachodzą cię tego rodzaju refleksje, kiedy udajesz się na przykład w dłuższą wędrówkę w góry? Kiedy się zachwycisz ogromem tego, co stworzone, rzadko kiedy prowadzi cię to do myśli: o, jakie piękne, szkoda tylko, że powstało z przypadku. Gdy się zachwycasz tym, co stworzone, to od razu uruchamia się w tobie proces, nie wiadomo skąd, który podpowiada ci, że jednak ktoś za tym może stać. Lubię tę perspektywę.

Gdy podróżowanie po Warszawie, siedzenie na YouTube, słuchanie najnowszych kawałków czy nawet spotkania z ludźmi mnie zamęczają, raz na jakiś czas odcinam się od tego, w czym normalnie funkcjonuję, i ruszam gdzieś samotnie na kilka dni. Najczęściej są to góry, czasami mazowieckie wsie i pola. Otwieram booking.com albo dzwonię do jednego sprawdzonego kumpla, by znaleźć miejscówkę i złapać na nowo perspektywę. Kiedy patrzę bez pośpiechu na to, co zaistniało, to po kilku dniach na spokojnie mogę znów stwierdzić, że nawet kiedy ja gubię kontrolę, jest Ten jeden, który tego nie robi.

W tym momencie chciałbym wspomnieć jeszcze o czymś: o sumieniu. Ty je masz i ja również. Wydaje nam się, że nie wszyscy je mają, ale prawda jest taka, że każdy z nas ma w sobie zakorzenione poczucie tego, co jest moralne, a co nie. Co jest dobre, a co dobre nie jest. Nie potrafimy do końca wyjaśnić, skąd to wiemy i jak to określamy, ale to robimy. To jest coś takiego, co istnieje trochę poza nami.

Oburzamy się wspólnie, gdy dziecku dzieje się nieszczęście ze strony rodzica, i jesteśmy gotowi społecznie oprawcę osądzić. Takich przykładów jest całe mnóstwo.

Wierzmy, że ktoś, kto kradnie, nie powinien tego robić; ktoś, kto ogląda każdy odcinek serialu Klan, nie powinien tego robić; ktoś, kto bije słabszego, sam powinien dostać w tyłek. Są standardy, nawet niewypowiedziane, z którymi wszyscy się zgadzamy, i nie jest to tylko kwestia kontekstu, ale czegoś, co wydaje się absolutnie niezaprzeczalną moralną wartością. A niby dlaczego tak ma być? Skąd takie przekonania i standardy jednak w nas siedzą? Dlaczego nie robimy tego, co chcemy, kiedy chcemy, jak chcemy? Coś nas jednak powstrzymuje – zarówno indywidualnie, jak i społecznie. Mamy w sobie, w swoim sumieniu pewne granice, których nie przekraczamy. Ktoś musiał nam to zainstalować.

Oczywiście można twierdzić, że sumienie samo w nas wyewoluowało, ale kolejne pytanie musiałoby brzmieć: po co? A jeszcze kolejne: czy to możliwe? Oczywiście można twierdzić, że nie mamy sumienia. Skoro nie mamy, to czemu tak często się ograniczamy, czemu się powstrzymujemy albo co w takim razie nas powstrzymuje i ogranicza? Możesz powiedzieć, że to, co czytasz przez ostatnie kilka minut, to jakieś słabe filozoficzne pierdu-pierdu i że potrzebujemy twardych dowodów. Ale czy kiedy w tym podróżowaniu masz momenty, kiedy zatrzymujesz się i nie wyjeżdżasz gdzieś, by się odciąć, albo siedzisz wieczorem w domu, to nie nachodzą cię właśnie tego rodzaju rozkminy?

A teraz trochę z innej strony. Opowiem ci coś o swoim doświadczeniu. Ale nim to zrobię, chcę byś wiedział, że wierzę w to, że Bóg jest obecny, a Jego obecność można wyczuć wielowymiarowo. Po pierwsze wierzę w Jego wszechobecność, co oznacza dla mnie, że Bóg jest wszędzie i stoi za tym, co widzą moje oczy. Po drugie wierzę w Jego obecność w moim życiu, w mojej osobie od momentu, kiedy powierzyłem Mu swoje życie, i o tym trochę więcej opowiem w kolejnym rozdziale. Wierzę też w jeszcze jeden wymiar jego obecności, to znaczy w Jego obecność, która się przejawia w sposób wyczuwalny dla nas często wręcz fizycznie.

Zgodnie z tym, co odnajdujemy w Biblii, wszystko zaczęło się od tego, że w ogrodzie poza Adamem i Ewą przebywał Bóg. Byli z Nim w tak bliskiej relacji, że Go wyczuwali, ale kiedy zerwali zakazany owoc, postanowili się przed nim schować. I to nie przed Nim wszechobecnym, ale przed Nim, którego wyczuwali, gdy się pojawiał.

W innym miejscu jest mowa o Mojżeszu, który kilka lat wcześniej poznał Boga jako „Tego, który jest”, i stojąc na czele ludzi Izraela, uczestniczył w konwersacji:

(Pan) powiedział: Jeśli Ja osobiście pójde, czy to cię zadowoli? Mojżesz rzekł wtedy: Jeśli nie pójdziesz sam, to raczej zakaż nam wyruszać stąd.

Wyj 33, 14–15

Jak Bóg może mówić, że Jego obecność pójdzie z ludźmi, skoro Bóg jest wszechobecny? Dlatego, że nie odnosi się do swojej wszechobecności, ale do innego rodzaju obecności, obecności przejawiającej się w sposób audiowizualny i wyczuwalny dla człowieka.

Najlepsze przedstawienie różnicy między wszechobecnością Boga a Jego przejawiającą się obecnością, jakie przychodzi mi na myśl, jest takie: Wyobraź sobie, że jesteś na jakimś gigantycznym spotkaniu pełnym ludzi i ktoś ze sceny mówi, że dzisiaj na tej sali jest pewien miliarder. On jest wśród nas, jest obecny na sali. Ale jeśli by ten człowiek wstał i zaczął robić to, co tylko miliarderzy mogą robić, czyli rozdawać po milionie złotych każdemu na sali, dopiero wtedy jego obecność zostałaby zauważona. Wtedy dopiero mógłbyś jej naprawdę doświadczyć. Nie wiem jak ty, ale czasami marzy mi się by być na takim spotkaniu. Wiedzieć, że taka osoba jest obecna w pomieszczeniu, to jedno, a zupełnie czym innym jest doświadczenie dzięki niej tego, co jedynie ona jest w stanie dla ciebie zrobić.

Opowiem ci o dwóch momentach w moim życiu,

w których „miliarder” z nieba zmanifestował swoją obecność w moim życiu. Tych momentów było więcej, ale opowiem tylko o dwóch. Jak to mówi jeden z moich ulubionych mówców: „z osobistym doświadczeniem nie można dyskutować, więc w kwestii tego, że Bóg jest, to dla mnie szach i mat”.

Jedna historia będzie trochę dramatyczna, ale z happy endem, a druga bardzo wesoła. Mam córeczkę, Hanię. Możesz mówić, co chcesz, ale jest to bez wątpienia najpiękniejszy mały człowiek zamieszkujący ten świat. Same narodziny Hani były cudem, ale nie o tym chcę pisać. Gdy Hania miała pięć miesięcy, zauważyliśmy z żoną, że coś niepokojącego dzieje się z jej oczami i ogólnym zachowaniem. Dosłownie w kilka godzin wprost z przychodni wylądowaliśmy na oddziale neurologii w Centrum Zdrowia Dziecka w Międzylesiu. Po szybkich badaniach i analizie krwi okazało się, że Hania jest zarażona wirusem cytomegalii. To takie paskudztwo, z którym większość osób żyje i ewentualnie tylko się przeziębia, ale jak wirus przeniknie do układu nerwowego małego dziecka, to potrafi zasiać spustoszenie. W pewnym momencie Hania, leżąc w szpitalnym łóżeczku, przestała reagować na światło – zaczęła tracić wzrok. Lekarze nie byli w stanie wiele zrobić. Nasze wołanie do nieba miało tylko jeden cel. Kiedy Hania spała, a my spędzaliśmy większość czasu, modląc się o nią, to niebo uchyliło się w tym pokoju. Hania, gdy się obudziła, w cudowny sposób dotknięta przez przejawiającą się Bożą obecność, zaczęła z powrotem widzieć, a wirus ostatecznie przestał istnieć w jej małym ciałku.

Druga historia jest o obozie dla młodzieży, który organizowaliśmy z przyjaciółmi. Zbliżaliśmy się wówczas do trzydziestki, więc żeby nie czuć się staro, od czasu do czasu organizowaliśmy takie rzeczy. Po jednym z wieczornych spotkań zostaliśmy w czwórkę, by jeszcze razem podziękować Bogu i pomodlić się o ludzi. Nie mogę sobie teraz przypomnieć, jak długo trwała ta modlitwa, ale pamiętam, że w pewnym momencie odczułem fizycznie, że nie mogę się ruszyć.

Nie jak ktoś sparaliżowany, lecz jak ktoś, kto doświadcza takiej błogości, takiego szczęścia, że trudno to opisać słowami. Zaraz potem przyszedł też śmiech, jakby spoza mnie. Radość, którą wtedy czułem, wypłynęła z głębokiego przekonania, że Bóg jest i sam sprawia, że cieszę się tym faktem z głębi mojego osobistego jestestwa. Tak, jak napisałem wcześniej: szach i mat – On jest.

